№ 47 Warszawa, dnia (13) 25 Listopada 1899 roku. Rok XLI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:

w Warszawie: kwartalnie . . rs. 1
Za odnoszenie do domu *kop. 10.*

Z przesyłką pocztową: kwartalnie . rs. 1.25, półrocznie . „ 2.50, rocznie . . . „ 5.—

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Chmielna 26. — Telefon 106.

ZA GRANICĄ: We Lwowie i Krakowie Kwartalnie flor. 1.80, Na prowincyi flor. 2.20. w Poznaniu kwartal. mr. 3, na prowincyi 3.75. W innych państwach związku pocztowego kwartalnie rs. 1 kop. 60 lub walutą zagraniczną podług kursu.

Agencye główne na Galicyę: we **Lwowie** Agencya dzienników i inseratów **St. Sokołowskiego** Pasaż Hausmana l. 9; w **Krakowie** księgarnia **S. A. Krzyżanowskiego**. Agencya główna na Niemcy: **Księgarnia Polska Wiktora Templowicza** w Poznaniu Hotel Francuzki. **Zmiana adresu kop. 15.**

CENA OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitu jednoszpa[illegible] jego miejsce kop. 12 „Nadesłane“ [illegible]ów lub [illegible]iersz garmontu kop. 50. Ogłoszenia przyjmuje [illegible] **Administracya pisma** i wszystkie **biura ogłoszeń warsza[illegible]** [illegible] i znaczniejsze zagranicą.

Rękopisów mniejszych Redakcya autorom nie zwraca.

Wiktor Gomulicki.

WYZWOLONA.

Karta z życia.

(Dalszy ciąg).

Nietylko na werendach licznych *cafés*, lecz przed każdym prawie domem, z którego wprost na chodnik powynoszono krzesła, kanapki i ławki, rozsiadały się gromady mieszczaństwa. Tu i owdzie swobodni pod tym względem paryżanie, ukazywali się w pantoflach, bez surdutów, w samych kamizelkach, a nierzadko i bez kamizelek.

Hałasu, szczękania kieliszków, fałszywego śpiewu i śmiechów wrzaskliwych i tu nie brakło.

Wanda nigdzie nie mogła znaleźć upragnionego spokoju. Skręcała w najwęższe i najmroczniejsze uliczki, a gwar i ruch wszędzie szły za nią.

Te tłumy rozwrzeszczane, rozchichotane, weselące się Bóg wie z czego, drażniły ją nie tyle swą bezmyślną wesołością, co tem, że zdawały się mówić urągliwie:

— Nic sobie nie robimy z ciebie, z twego dyplomu i z twojej sławy! Księżyc twój tyle nas obchodzi, co pierwsza lepsza latarka przed szynkiem, którą każdej chwili można zastąpić inną, i która nic a nic na wartość wódki i wina nie wpływa!..

Ocierano się o nią bez ceremonii, a że szła sama, męzkiego ramienia pozbawiona, okazywano jej nawet lekceważenie. Na wązkim chodniku jakiejś uliczki podrzędnej, młodzieniec w bluzie i na łokieć wysokiej czapce, ze srodze umalowaną panną pod rękę, potrącił ją tak silnie, że ledwie nie upadła.

Zła i znużona, usiadła na ławce w pobliżu stacyi omnibusów. Było tu cokolwiek ciszej, a tłum, zajęty wyczekiwaniem na miejsce w omnibusie, pozostawiał ją w spokoju.

Dojrzał wszakże samotną „burżuazkę“ kolporter dzienników i przybiegłszy, podsuwać jej jął przed same oczy illustrowane i nie illustrowane arkusze, wykrzykując głośno ich tytuły.

W jaskrawem świetle latarni gazowej do strzegła na pierwszej karcie jakiegoś świstka humorystycznego postać kobiecą skarykaturowaną, w której poznała—siebie.

Kupiła ów świstek, aby lepiej przyjrzeć się rysunkowi:

Przedstawiał on Wandę pod postacią przesadnie chudej, tyczkowatej kobiety, z papierosem w ustach, teleskopem pod pachą i z wyglądającym z kieszeni dyplomem doktorskim. Kobieta wspinała się z wysiłkiem niezmiernym na palce, aby zerwać jedną z kul, u sklepienia niebieskiego na sznurkach uwieszonych, na której znajdował się napis: „Księżyc.“ Tytuł rysunku brzmiał: „Kwaśne... pomarańcze.“

Kiedyindziej, wzruszyłaby na ten koncept ramionami; w tej chwili przyprawił on ją o gniew. Zgniotła liche pismidło w dłoni i rzuciła daleko za siebie.

Tymczasem tłumy przerzedzać się zaczęły. Powietrze przestało być dusznem; wiatr od Sekwany oczyścił je i odświeżył.

Nerwy Wandy uspokoiły się cokolwiek. Choć znużona, postanowiła pójść pieszo do domu, który zresztą znajdował się niedaleko.

Szła teraz wolno przez ulice, które szybko pustoszały, zapadając odrazu niemal w prawie cmentarną ciszę.

Jakąś rażącą sprzeczność stanowiła ta cisza z gwarem opuszczonej niedawno sali biesiadnej i z hałaśliwą wesołością rozbawionego bulwarowego Paryża! Jakże niepodobną była owa przed kilku godzinami przez kwiat paryzkiego towarzystwa uwielbiana bohaterka, do tej słabej, złamanej kobiety, co ociężałym krokiem, ze zwieszoną na piersi głową, wlokła się wązkiemi uliczkami spokojnej, pracującej dzielnicy!

Sprzeczne wrażenia dnia w dziwny sposób oddziałały na Wandę. Była napół odrętwiona i doświadczała wrażenia, jakby nie miała ani jednej myśli w głowie, ani jednego uczucia w piersiach...

Przechodząc mimo jednej dużej kamienicy, zatrzymała się nagle, jakby przykuta do miejsca czemś, co niespodzianie jej oczy i umysł uderzyło.

Wyższe piętra kamienicy tonęły już w ciemnościach; świeciło się tylko w jednem z okien dolnych, dotykającem prawie ziemi. Rolety w oknie tem nie było, a ponieważ firanka zaledwie do połowy je zasłaniała, w pokoju zaś jasnym płomieniem paliła się lampa wisząca, dokładnie można było widzieć, co się tam dzieje.

Tuż pod lampą, na dużym stole, wśród powodzi białych muszlinów, leżało na poduszce — dziecko. Leżało, ale nie spoczywało, wierzgające bowiem nóżki oraz rączki, chwytające coś nieustannie w powietrzu, z pojęciem spoczynku bynajmniej się nie zgadzały.

Dziecko nie miało pewnie jeszcze roku, ale było tłuste, jędrne, różowe, atłasowy zaś połysk ciała wskazywał, że przed chwilą wyjęto je z kąpieli.

Przy stole, pochylając się nad dzieckiem, stali rodzice — oboje młodzi, przystojni, weseli, rozkochani w dziecku i—w sobie.

Mężczyzna lewą ręką obejmował kobietę, a w prawej trzymał pajaca, do którego wyciągały się tłuste ręczyny dziecka. Prawa ręka kobiety spoczywała na ramieniu męża, lewa podtrzymywała ostrożnie poduszkę, niby straż przy niemowlęciu odbywając.

Obrazek ten, aż do zbytku pospolity, oddziałał na Wandę wstrząsająco.

Przez kilka chwil, wychylona do połowy z cienia, przez dom rzucanego, z ustami do połowy otwartemi, wpatrywała się w oświeconą głąb pokoju nadmiernie rozszerzonemi oczyma, milcząca, sztywna, jakby w kataleptycznem odrętwieniu.

W głowie tymczasem wirowały jej myśli szalone.

Chciała wedrzeć się do tego cichego mieszkania, kobietę odepchnąć, dziecko porwać i unieść. Chciała krzyknąć wielkim głosem, że ją ta kobieta okradła, że zabrała jej dziecko i męża, odarła ją z młodości, urody i zdrowia.

Nigdy dotąd o dziecku swem nie myślała; teraz stanęło przed nią ubrane w piękność nadludzką, w blaski anielskie. Zdawało się jej, że została oszukaną, że to dziecię przyszło na świat żywe i piękne, że czyjaś nienawiść pozbawiła ją największego w życiu skarbu.

Zmożona wielkim bólem, chwyciła się ręką za serce, rzuciła w tył, i przypadłszy do muru, wybuchnęła płaczem głośnym.

Były to pierwsze jej łzy, od czasu gdy przyszła do samowiedzy duchowej.

Po długim, przerywanym, męczącym śnie, obudziła się Wanda około południa.

Była jak odurzona; głowa jej ciężyła, wspomnienia dnia wczorajszego wirowały w mózgu splątane, niewyraźne...

Ociężale zwlokła się z łóżka, narzuciła szlafrok i podeszła do stolika, na którym stało nieduże zwierciadło. Nigdy tego nie czyniła, przeglądając się zwykle pośpiesznie przy ubieraniu; dziś jakaś siła instynktowa pociągnęła ją do tej tafli szkła błyszczącej i brutalnie szczerej.

W zwierciadle ujrzała twarz żółtą, zmiętą, o podsiniałych i przygasłych oczach, napiętnowaną znużeniem niezmiernem. Odkryte czoło, skronie zapadłe, usta pozbawione zupełnie tej figlarności i słodyczy, jakie są młodym dziewczętom właściwe, nadawały tej twarzy charakter męzki—poważny i surowy.

Przypatrywała się sobie długo; potem załamawszy ręce, rzekła głucho:

— Czyż to tak wyglądają ludzie szczęśliwi?..

Wielka gorycz przepełniła jej serce; opanowało ją zniechęcenie; uczuła wstręt do wszystkiego—do życia nawet.

Ale umysł, nawykły poszukiwać wszędzie przyczyny pozytywnej, podszepnął jej:

— To tylko wyczerpanie nerwowe... To przejdzie...

Zwykłym sobie, dumnym ruchem, podniosła głowę do góry—zaraz jednak na piersi ją opuściła.

Po chwili odwróciła się od stolika ze zwierciadłem i przeszła do innego, stojącego przy drzwiach, na którym służąca przychodnia umieszczała zwykle przybory śniadaniowe. Wanda bowiem zachowała przyzwyczajenie studentki, i własnoręcznie gotowała na maszynce mleko (które zawsze wykipieć musiało) i spożywała je na śniadanie z jednym suchym *petit-pain'em*.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

Z myśli współczesnych

o wychowaniu.

Wydaje się, że obfitości nieproszonych rad lekarskich w epoce Stańczyka, wyrównywa w naszych czasach powódź prawdziwa wskazań pedagogicznych. Niekoniecznie zawodowi, albo zgoła samozwańczy pedagogowie, teoretycy bez praktyki i praktycy bez naukowej busoli, wreszcie obcy pochodzeniem, a roszczący zawsze śmieszne pretensye przewodnictwa—wszystko to razem wzięte uwzięło się na natrętne narzucanie ogółowi rad swoich, wskazywanie wzorów i przykładów—niby gwoli naprawienia człowieka dzisiejszego.

Możnaby się zapytać, co się stało — zkąd naraz okazała się potrzeba — dlaczego gorliwość i nagłość taka dzisiaj właśnie?

Odpowiedź nasuwa się do pewnego stopnia sama: Oto człowiek współczesny musiał się okazać niedosyć poradnym w stosunku do potrzeb chwili, niezdolnym sprostać zadaniu—jednem słowem, okazał się niewystarczającym. Musi być tak a nie inaczej, bo dlaczegóżby się dopominano o jego reformę — dlaczegoby wołano wielkim głosem o człowieka innego—nowego.

Zanim się dowiemy jakim być ma ten, na którego oczekujemy, wartoby się zastanowić, kim jest ten, którego mamy, a z którego nie wydajemy się być dosyć uszczęśliwieni, nadewszystko zaś zkąd się wziął ten typ niepożądany między nami.

O rozwiązanie tej ostatniej zagadki nie zawadziłoby udać się najpierw do pessymistów. Słodkiem to, co oni powiedzą, być nie może, ale też szczególnem byłoby żądanie pochlebstw i kadzideł dla tego, którego my nawet, co pessymistami nie jesteśmy, koniecznie pozbyć się chcemy. Niema co, tylko prawdomównych a nie obwijających w bawełnę pytać potrzeba, a z tych każdy, o ile wiemy, wywiódłby nam rzecz w tych mniej więcej słowach:

„Ten, na którego przychodzicie ze skargą, to dzieło nie czyich rąk, tylko waszych własnych. Aby o nim powiedzieć prawdę nagą, wyznać należy, że we wnętrzu istoty swojej żadnymi węzły nie związany on jest z przeszłością, a na przyszłość cynicznie obojętny, że jest oportunistą co do zasad, człowiekiem o nizkim poziomie aspiracyj, którego strony dodatnie nie dorastają wysokości cnót, a ujemne robią z niego nieużytek prawdziwy—że jednem słowem ten wasz człowieczyna, to nie cyfra a zero, nie plon a nasienie chwastu — nie siła i żywotność, a zanik i upadek oczywisty. A jeśli idzie, zkąd się wziął, to odpowiedź będzie także zwięzła i treściwa:

„Było wam dla pofolgowania duchowi no watorstwa nie przeorywać roli, kiedyście się nie czuli na siłach obsiać tej roli ziarnem zdrowem a płodnem. Używszy innych słów: W śmiertelnej trwodze przed ideałem, ugnietliście sobie karykaturę człowieczeństwa, *homunculusa* jakiegoś, na potrzebę chwili, jak to wam samym nieraz się w programach różnych wymknęło mimowoli, a gdy wam ta postać na oczach drobnieć i wykrzywiać się poczęła, co było nieuniknionem, gdy na skutek przystrzygania lotów u ramion, wyrosły jej u nóg zrosłe płetwy, gdy zamiast rumieńca zdrowia dostrzegliście na jej licu zmarszczkę zgrzybiałości przedwczesną, gdy miast wzlotów ujrzeliście jej pełzanie zwyczajne, uderzacie w wielki dzwon i robicie gwałt o człowieka. Macie waszego człowieka upragnionego, bo też zaprawdę nie byłoby sprawiedliwości, ani związku logicznego między przyczyną a skutkiem, gdyby to, o coście się dobijali, powiodło wam się lepiej i dało rezultaty pomyślniejsze.“

Tak powiedziałby pessymista. Mówi on zkąd się wzięło licho, charakteryzuje jego istotę, rad jednakże nie daje, bo go też nikt o nie nie pyta, a to z racyi zapewne, że gdyby zapisał receptę, niewątpliwie lekarstwo nie okazałoby się łatwem do przełknięcia.

Któż tedy są ci, którzy radzą?

Wymieniliśmy ich wszystkie mniej więcej kategorye na początku samym, co zaś do stwierdzonej przez nich potrzeby środków zaradczych, mówią jedni to, drudzy owo, bez szczególnej jednakże dla samego pacyenta niechęci, ale za to ze stanowczem dla jego wychowawców oskarżeniem. Podnieśmy te tylko utyski i dorady, które się w ostatnich ukazały tygodniach.

Oto pan „Niepowołany“ naprzykład, powiada nam, że człowiek dzisiejszy, to mazgaj poprostu, że nie umie on pragnąć, chcieć, rozsuwać łokciami obok siebie, nie potrafi zdobywać, że jest czułostkowy, mdły, sentymentalny, ma bowiem wszczepione przez tatę i mamę wszystkie chorobliwe altruizmy, podczas gdy przyszłość należy do buldogów, fox terrierów, new-founlanderów i innych ras anglo-saksońskiego pomiotu, i że w sumie biorąc, dopóki dziecko nasze nie zacznie się wzorować na przymiotach w połowie ludzkich, a w połowie psich brytyjskiego pochodzenia, dopóty będziemy i t. d., i t. d., i t. d.

W każdym razie winowajcami są tutaj tata i mama, a homunculus ofiarą czystą dziedzicznego altruizmu rasy niepoprawnych.

Ktoby chciał panu „Niepowołanemu“ służyć prawdą szczerą a całą, ten musiałby zmodyfikowawszy orzeczenia pessymisty, w ten sposób definicyę człowieka współczesnego sprostować:

Homunculus dzisiejszy nie jest ani sentymentalnym, ani abnegatem, ani wogóle jakiegokolwiekbądź rodzaju altruistą. Dalej: nie zbywa mu bynajmniej na dobrych chęciach posiadania, byle go to zbyt wiele trudu nie kosztowało, albowiem czuje się nadzwyczajnie zdenerwowanym, ma w tej chwili nawet migrenę, nadto ocenia jak należy nicość zachodu, zmierzającego do podtrzymania bytu, i ma wogóle zbyt mało czasu, zajętym będąc przeglądaniem się w bajecznej głębi przezroczach własnej duszy i wynosząc z tych oględzin iście Narcyzowe zadowolenia. W chwilach wolnych zajmuje go bezbrzeżna głupota ludzi, którzy go na tej ziemi poprzedzili, i chętnie dosyć reformowałby wszystkie stosunki, gdyby jemu oddano kierunek tego przeobrażenia, i gdyby był pewnym, że się cała ewolucya ponad dwadzieścia cztery godzin nie o wiele dłużej przeciągnie, co wszystko razem wziąwszy, pozwala mu uważać się za członka pierwszego dopiero na tej ziemi

pokolenia, obdarzonego uczuciami humanitarnemi.

Co do taty i mamy, tych radzilibyśmy z aktu oskarżenia stanowczo wypuścić, albowiem oni z pewnością robili co mogli. Należąc już sami do kategoryi przetrzeźwionych, dawali zapewne rady zbawienne, podbudzali apetyt, na karyerę zapatrywali się zdrowo, że jednak homunculus o parę stopni ich oczekiwania wyprzedził, temu oni niewinni, bo się w sumieniu swojem rodzicielskiem do żadnego grzechu zaprzątania głowy dziecka ideałami, nie poczuwają.

Każdy, jednem słowem, robi co może, a o pokoleniu następnem niechaj myśli homunculus sam. Że pomyśli, któżby chciał wątpić z tych, co wiarogodność tej sylwetki poświadczyć gotowi.

Wogóle gdyby nie tata i mama, nie byłoby komu doręczyć pozwu. Oto jeden znowu z gatunku tych pedagogów, których nazwaliśmy teoretykami bez praktyki, napada na faryzejską obłudę uprawianą w *tak zwanych* rodzinach, a te jak to dobrze wiadomo, są tylko rozsadnikami ciemnoty odwiecznej i niepoprawnego wstecznictwa. Ten znowu gniewa się, dlaczego rodzice utrzymują dziecko tak długo w nieświadomości, dlaczego zamykają przed niem księgę tajników złego i dobrego, podczas gdy im prędzej dowie się tego, co przed niem ukrywają, tem lepiej dla niego..

Co—możnaby powiedzieć, pozostaje do dowiedzenia, albowiem dotąd bynajmniej rezultatami pomyślnymi otrzymanymi przez tych, którzy próbowali, stwierdzonem nie zostało. Że zaś próby są ryzykowne, kosztowne, że nadto mają one wielkie podobieństwo do rzucenia się głową na dół, praktykowanego przez wypróbowanych tchórzów, albo waryatów, przeto na naśladowców i zwolenników metoda powyższa liczyć chyba u nas także nie może.

Jeszcze słów kilka uwagi temu panu, którego ciągle podejrzewamy, mówiąc nawiasem, że do naszej rodziny nie należy chyba, albowiem jej fundamenty bagatelizuje sobie w pewien charakterystyczny sposób. Gdyby należał, wiedziałby coś niecoś przynajmniej o wielkiej niedawno jeszcze w tej społeczności powadze jej głowy, która z wyjaśnieniami tego rodzaju nie spieszyła nigdy, i o wyrabianiu się dzięki temu charakterów i obyczajów, wytrzymujących w najgorszym razie porównanie z dzisiejszemi. A niemniej i o tej dla wielu jeszcze z żyjących niezapomnianej atmosferze czystości domowej, która w osobach matki i sióstr, hamulcem była niejednemu wśród niebezpieczeństwa pokus życiowych.

Trzeba to znać, trzeba było tego doświadczyć na sobie, żeby tej atmosfery niepokalanej ważność i świętość, jako potężnego czynnika wychowawczego, ocenić jak należy.

Wogóle nie dobrze jest, gdy nam kto do wnętrza stosunku naszego domowego zbyt poufale zaziera, i zanadto się niem rozporządza. To jest znamienne i budzi podejrzenia. Uważamy też to w najlepszym razie za niegrzeczność i natręctwo.

Oto głosy pojedyncze niektórych doradców nieproszonych, którym się zachciewa w myśl uwidzeń własnych dawać napomnienia, ostrzegać, a także stawiać jako przykład społeczności obce, z wyraźnem wedle mody dla społeczności angielskiej pierwszeństwem i wyróżnieniem. Na pociechę wszystkim naszym „Niepowołanym" i „Nieproszonym" mamy do przytoczenia z prasy francuzkiej fakt dowodzący, że nie my sami w osobie pewnych indywiduów dotknięci jesteśmy mdłościami anglomanii. Gdy nam ktoś daje do zrozumienia, że posiadamy pół piątej klepki, błogo jest dowiedzieć się, że i bliźni ma ich także tylko cztery z ułamkiem. Fakt jest taki:

Korespondent poważnego dziennika francuzkiego pojechał do Southampton, aby się przyjrzeć kontyngensowi paru batalionów wysyłanych na teatr wojny do Transwaalu. Opisuje drobiazgowo i dobrze, dlatego też doczytaliśmy do końca, a on przez wdzięczność zarezerwował nam niespodziankę pedagogiczną na końcu samym. Charakteryzuje rodzinę pewną; ojciec kapitan piechoty, odjeżdża z kompanią, żona jego z synem dwunastoletnim odprowadzają go na statek. Nadchodzi chwila pożegnania Wzruszony żołnierz chce uściskać dziecko, ale malec z gestem mężkim, jak twierdzi sprawozdawca, odsuwa go od siebie, a wyciągając rękę mówi tylko: *Good bye sir,* co wychodzi w danym wypadku na nasze: *Trzymaj się pan ciepło!* Przez ten czas matka odwrócona ociera oczy, a ojciec widząc jak dzielnego pozostawia męża, bierze na bok tego dwunastoletniego człowieczka i mówi mu: *Look after her* (Miej o niej staranie).

Głupiuteńkiemu korespondentowi gazety marzy się, że patrzył na stoika, podczas gdy on widział tylko drąga drętwego, który nie takie rzeczy pokaże jeszcze, zanim dojdzie wieku prawnej pełnoletności, i którego staraniom nietylko matki, ale żadnego żyjącego stworzenia w domu pozostawiać się nie godziło.

Stanowczo pedagogia jest dziedziną, w której w naszej epoce wypowiada się najwięcej niedorzeczności, a większa ich część ma źródło swoje w tem, że nie chcemy się liczyć z dorobkami pokoleń poprzednich, że człowieka nowego uważamy za organizacyę nową i odrębną, którą możemy sobie urobić wedle woli z pominięciem czasu, praw przyrodzonych i właściwości plemiennych.

S.

OSZCZĘDNOŚĆ.

Nie podlega wątpliwości, że w kraju naszym brak ułatwień oszczędnościowych dotkliwie czuć się dawał, i że oddawna mówili o tem ci wszyscy, którzy nie tyle w zmniejszeniu stopniowem godzin pracy robotnika, ile w zaszczepieniu temu robotnikowi metody odkładania grosza do grosza widzą źródło jego przyszłego dobrobytu. Nasze dotychczasowe kasy oszczędności funkcyonujące w Warszawie nie sprzyjały wcale rozpowszechnieniu się tego ducha. Miały one przedewszystkiem oznaczone swoje minimum wkładu na warunki nasze zbyt wysokie, a nadto przez otwieranie biura w pewnych tylko godzinach dnia i powstający ztąd natłok interesantów, stanowczo zniechęcały.

Nie zapominajmy, że u nas oszczędza przedewszystkiem kobieta — kobieta matka i pracownica. Żądać od niej, żeby z odłożoną mozolnie kwotką wyczekała jeszcze kilka godzin przy kratce kasowej, jestto żądać wprost niemożebności.

Zdaje się, że zatwierdzone pod datą 28 Lipca roku bieżącego przez ministeryum skarbu nowe przepisy o markach oszczędnościowych, powinny wiele niedogodności usunąć, a tem samem wzmocnić tego ducha ekonomiki w życiu codziennem, nad którego brakiem ubolewaliśmy szczerze. Nowe te przepisy zawarte w 37 artykułach obowiązywać mają w Rossyi Europejskiej od 13 Stycznia 1900 roku, w Rossyi Azyatyckiej od 13 Marca tegoż roku. Postaramy się streścić tutaj to, co dla wiadomości ogólnej wydaje się nam najniezbędniejszem.

Wszystkie kantory i oddziały pocztowe, oraz wszystkie kasy oszczędnościowe przy kasach rządowych i instytucyach Banku Państwa otrzymają do sprzedaży nowe *marki oszczędnościowe* dwojakiej wartości: 10 cio i 5-cio kopiejkowe, tudzież dwojakie blankiety do naklejania tych marek, podzielone na pola, tak, aby zaklejony blankiet cały przedstawiał wartość 1 rubla.

Oprócz instytucyi rządowych sprzedażą marek zatrudniać się będą: urzędy wojskowe — zakłady naukowe równie jak przełożeni, nauczyciele i nauczycielki szkół—sklepy rządowej sprzedaży trunków — stacye dróg żelaznych, a nadto pośrednikami rozprzedaży mogą być instytucye i zakłady prywatne, o których mowa w ustawie. Od dokonanej sprzedaży marek ustanowionem zostało wynagrodzenie w stosunku 1 kop. od rubla.

Uwzględniając potrzebę wprowadzenia ducha oszczędności wpośród uczącej się młodzieży obniżono dla tej grupy wkłady, przez ustanowienie marek jednokopiejkowych, które tak samo naklejane będą na blankietach właściwych, obejmujących w całości wartość rubla. W ten sposób ustanowioną zostaje instytucya kas szkolnych od dosyć dawna funkcyonująca z powodzeniem zagranicą.

To samo obniżenie stosuje się i dla klas robotniczych i dlatego marki jednokopiejkowe wydawane będą do rozprzedaży zakładom fabrycznym i instytucyom przemysłowym, jednem słowem osobom i administracyom, z któremi robotnik fabryczny zostaje w codziennym obowiązkowym stosunku.

Blankiety pokryte markami do wysokości rubla przyjmowane będą jako gotowizna we wszystkich rządowych kasach oszczędności. Właściciel takiego pierwszego wkładu otrzymuje książeczkę oszczędnościową i z tym dniem rubel jego zaczyna przynosić odsetki. Dalsza część manipulacyi podlega istniejącemu porządkowi, przyjętemu w kasach oszczędności.

Niepotrzeba wspominać, że inicyatywie prywatnej otwiera to ułatwienie drogę. Propaganda oszczędności jestto trud mrówczy, którego doniosłość zbiorowa ma jednak znaczenie wcale niepoślednie. Choćbyśmy tylko wyszli z zasady i pewnika, że niepożąda cudzego, kto z własnych przychodów nauczy się grosz po

groszu odkładać, racya tej propagandy byłaby wystarczającą. Że w pierwszym rzędzie widzimy tutaj wskazaną działalność dla kobiety, zaledwie warto wspominać.

R.

Z nauki czystej i stosowanej.

Deszcz gwiaździsty i mniemany koniec świata. — Co to są komety, zkąd się biorą i jakiemu ulegają losowi.

Obiecywano nam, nie wiem już po raz który, koniec świata ze wszytkiemi towarzyszącemi tej katastrofie okropnościami, lecz groźba spełzła na niczem. Falb, który jak się zdaje, bardziej dba o rozgłos, niźli o naukę, zapewnił, że nasz glob zetknie się z kometą, która ukazuje się peryodycznie na jego drodze, i wskutek tego spotkania zjawi się niesłychana liczba gwiazd spadających; nieszczęśliwa ludzkość musi zatem albo upiec się żywcem w ogniu lecącym z nieba, albo zginąć od pocisków z góry, jak giną artylerzyści podczas bitwy.

Ponieważ wszyscy żyjemy dotąd, więc się pokazuje, że spotkanie z kometą nie grozi żadnem niebezpieczeństwem; deszcz gwiaździsty wprawdzie był, lecz nadspodziewanie słaby i nie wyrządził nikomu krzywdy.

Spadająca gwiazda należy do bardzo pospolitych zjawisk; kto lubi przechadzać się wieczorem przy pięknej pogodzie, ten niejednokrotnie obserwował świetlane punkciki przesuwające się po niebie.

Przylatują one do nas z niezmiernych przestrzeni międzygwiaździstych, napełnionych okruszynami materyi niezbadanego pochodzenia; okruchy te bywają czasami duże i spadają na ziemię w postaci kamieni meteorycznych, czyli aerolitów — czasami znów są bardzo drobne, tak, iż nie dościgają w pierwotnej swej postaci powierzchni naszego planety, lecz wskutek swej olbrzymiej szybkości, dosięgającej 70 kilometrów na sekundę, zapalają się od tarcia o powietrze i zamieniają w gazy.

Gwiazdy spadające należą właśnie do owych drobnych okruszyn materyi, różnią się zaś od aerolitów tem, że nie zjawiają się jak one sporadycznie od czasu do czasu, lecz peryodycznie. Rok rocznie w Lipcu, Sierpniu (od 10—12 go) i Listopadzie (pomiędzy 10 a 14-ym) widujemy te roje gwiaździste; mnóstwo gwiazd wybiega, jakby z jednego wspólnego punktu na niebie, przelatuje pewną przestrzeń i znika bez śladu.

Rój sierpniowy jest zwykle obfitszy w gwiazdy spadające, aniżeli rój listopadowy, co 33 lat jednak deszcz ukazujący się w Listopadzie przewyższa świetnością deszcz sierpniowy, a ponieważ ostatni raz zjawisko takie miało miejsce w 1866 r., więc musiało się ono powtórzyć w obecnym.

Gwiazdy spadające w Listopadzie zwą astronomowie leonidami, z powodu że punkt wyjścia ich na niebie leży w gwiazdozbiorze Lwa (Leo).

Jakiż związek mają leonidy z kometami? — zagadną niecierpliwe czytelniczki.

Bardzo ścisły, jak się to zaraz postaram wyjaśnić.

Otóż astronomowie z właściwą sobie sumiennością obliczyli nietylko szybkość gwiazd spadających, czyli meteorytów, w przestrzeni, ale nawet kształt ich drogi, i przekonali się, że drobne te ciałka: 1) posiadają ruch własny dookoła słońca na podobieństwo planet, 2) że opisują linie krzywe, dziwnym zbiegiem rzeczy odpowiadające drogom pewnych komet, 3) że tworzą mniej lub bardziej martwe pierścienie, składające się z wielu miliardów okruszyn, odległych na paręset kilometrów jedna od drugiej. Tak np. pierścień meteorytów sierpniowych (Perseidów) ma ten sam kształt, i składające go cząsteczki biegną tą samą zupełnie drogą, co droga komety III-ej z roku 1862; drodze zaś Leonidów odpowiada ściśle droga komety I-ej z roku 1866. Sławny astronom Herschel dał nam nawet w r. 1878 spis 67 rojów gwiazd spadających, których drogi są bardzo zbliżone do dróg znanych komet.

Z podobieństwa dróg rojów z drogami komet wywnioskowano, że musi istnieć ścisły związek pomiędzy temi dwoma zjawiskami. Stwierdza to doskonale kometa Bieli. Rzecz godna uwagi, że w latach, kiedy to ciało niebieskie przechodziło w pobliżu słońca, pojawiały się w końcu Listopada liczne gwiazdy spadające.

W 1845 roku, wskutek jakiejś katastrofy owa kometa rozleciała się na dwie połowy; w 7 lat potem obie komety, utworzone z rozbitej komety Bieli znajdowały się już daleko od siebie i od tej pory znikły. Spostrzeżono natomiast, że w latach 1866, 72, 85 i 92 w końcu listopada ukazywała się wielka obfitość meteorytów.

Widocznem tu jest, że kometa Bieli uległa zniszczeniu z niewiadomych przyczyn — mówiąc poprostu rozsypała się na niezliczoną ilość składających ją cząsteczek, które w dalszym ciągu krążą dokoła słońca. Co 7 lat zdarza się, iż owe cząsteczki rozbitej komety przelatują w sąsiedztwie ziemi, dokonywającej niezależnie od nich swego obrotu rocznego, ulegając jej sile przyciągania, wpadają do atmosfery, gdzie dają początek zjawisku deszczu gwiaździstego.

Im rozkład komety jest zupełniejszym, tem równomierniej wszystkie jej cząsteczki rozsypują się po całej drodze i tworzą pierścień jednakowo gęsty. Co rok ziemia przechodzi przezeń i co rok o pewnej porze mamy jakiś rój gwiazd spadających. Kometa, która dała początek rojowi Leonidów nie rozpadła się dotąd zupełnie; meteoryty są jeszcze skupione w jednej okolicy jej drogi, a ponieważ owo skupienie spotyka się po 33 latach z ziemią, więc co 33 lata widzimy wyjątkowo świetny rój listopadowy.

Przeciwnie kometa z r. 1862, z której wytworzyły się Perseidy sierpniowe, uległa kompletnemu zniszczeniu; cząsteczki jej rozprószyły się równomiernie na całej długości drogi, tworząc pierścień jednakowo gęsty we wszystkich miejscach, dlatego też rój sierpniowy jest zawsze jednako obfitujący w spadające gwiazdy.

Teorya komet tak postąpiła naprzód, że dziś już te zjawiska nie wydają się nam tajemniczemi. Otóż komety przybywają do nas z odległych przestrzeni międzygwiaździstych, są zaś utworzone z wielu drobnych cząsteczek, rozrzuconych na dużym obszarze. Z początku kometa tworzy rodzaj obłoku, który zbliżając się do słońca, ulega jego przyciągającej sile.

Wszystkie cząsteczki komety, oprócz swego ruchu pierwotnego, otrzymują jeszcze nadany im przez słońce. Wiadomo, że siła ciążenia wzrasta w stosunku kwadratów z odległości, łatwo więc pojąć, że cząstki znajdujące się bliżej słońca, nabierają w końcu większej szybkości od bardziej odległych; wyprzedzają te ostatnie, i kometa wskutek tego wydłuża się, czyli mówiąc innemi słowy, dostaje ogon odwrócony od słońca.

Jeżeli taka kometa posiada wielką szybkość własną, to bieży po paraboli albo hyperboli— ukazuje się więc raz jeden, poczem znika nazawsze; w przeciwnym zaś razie pozostaje w systemie słonecznym i odbywa swój ruch po zamkniętej elipsie, ukazując się peryodycznie. Krążąc ciągle dokoła słońca, kometa, na zasadzie nierównomiernego ruchu swych cząsteczek wydłuża się coraz bardziej, aż wreszcie rozsypuje się i daje początek pierścieniowi meteorytów. Taki los musi więc spotkać każdą kometę peryodyczną t. j. obiegającą słońce po elipsie.

Badając chemicznie proszek spadający z nieba, a tworzący się ze spalonych w atmosferze meteorytów, znajdujemy w nim żelazo, kobalt, nikiel, fosfor, krzem, grafit, siarkę etc. To nas przekonywa niezbicie, że komety składają się z tych samych pierwiastków, co i nasza ziemia, słońce i gwiazdy. Nieszkodliwość gwiaździstych deszczów dowodzi z drugiej strony, że spotkanie z kometą nie grozi żadnem niebezpieczeństwem nietylko ziemi, ale nawet zamieszkującym jej powierzchnię istotom.

W. U.

Z GALICYI.

Opierając się na informacyach profesora wszechnicy Jagiellońskiej dr. Rostafińskiego, daje p. Ferdynand Hösick dokładny stan uposażenia materyalnego krakowskiej Akademii Umiejętności.

Z góry wypadnie nam uprzedzić, że dla wielu czytelników obraz tego stanu streszczony w cyfrach, wydać się może niespodzianką — w każdym razie bardzo niepożądaną i niebudującą pod pewnym względem. Otóż co się tyczy funduszów, które wpłynęły w ciągu ostatnich lat 25-ciu, zanotować wypada: Zapis Curzydły krawca 40,000 reńskich — takiż mieszczanina krakowskiego, niewymienionego z nazwiska w sprawozdaniu 20,000 reńskich — takiż kupca warszawskiego Edwarda Czabana 63,000 reńskich — nakoniec z testamentu Maryi Jankowskiej 20,000 reńskich. Razem zapisów tych w kapitale 150,000 reńskich waluty austryackiej.

Dochody ma Akademia Umiejętności takie: Państwo daje zapomogi rocznej 20,000 złr. — drugie tyle wydział krajowy. Gmina miasta Krakowa 500 reńskich, książe Jerzy Lubomirski, który przekazał z majątku swego rocznego zasiłku 2,000 reńskich, nie pozostawił sukcesorów w linii prostej, z dwóch zaś osób, które odziedziczyły majątek, jedna, korzystając z możności, wyłamała się z tego obowiązku, tak, że z funduszu zasiłkowego ś. p. Lubomirskiego Akademia pobiera obecnie tylko 1,000 reńskich. Dalej procent od funduszu żelaznego wynosi 6,000 reńskich— ze sprzedaży publikacyi 1,200 reńskich — wszystkie zatem dochody stałe z tej pozycyi sięgają sumy rocznej 53,7000 reńskich.

Dużo się mówiło i pisało w swoim czasie o Szczawnicy i w mniemaniu wielu nieświadomych uchodzi to uzdrowisko Galicyjskie, jako żyła złotodajna dla naszej instytucyi naukowej. Zblizka jednakże rzecz przedstawia się o wiele mniej pomyślnie, wedle tego, jak ją prof. Rostafiński objaśnia. Wprawdzie ś. p. Szalay zapisał Szczawnicę w połowie synom swoim, a w połowie Akademii Umiejętności, ale takie użytkowanie wspólne okazało się w praktyce niemożebnem, współwłaściciele bowiem i spadkobiercy odmówili ze swojej strony wkładów koniecznych, tak, że trzeba było Akademii skupić i część drugą. Na kombinacyi takiej zyskać może Akademia kiedyś, dzisiaj jednak Szczawnica nie przynosi żadnych korzyści. Kapitał użyty na skup i nakłady, zaledwie da się przez osiągane dochody amortyzować, o przychodzie jednak z tej rubryki w danej chwili niema mowy.

Porównywał przy sposobności profesor Rostafiński ubożuchne uposażenie krakowskiej Akademii z identycznemi instytucyami istniejącemi w Pradze i Peszcie.

Już czeska Akademia stoi o wiele lepiej, w pierwszym bowiem roku otrzymała odrazu dar Józefa Hlawki wynoszący 200,000, przybyły subwencye ze strony rządu i narodu, zapisy osób prywatnych, tak, że Akademia stanęła silnie w bardzo niedługim czasie.

Co do węgierskiej Akademii nauk, nazwać ją można instytucyą magnacką prawdziwie, ale o źródłach jej pomyślności my mówić możemy tylko ze szczerem zakłopotaniem. Kiedy bowiem rozstrzygała się w parlamencie zasadnicza kwestya, czy są środki materyalne na ufundowanie tej instytucyi, a przedstawiciele młodego dualistycznego państwa wahali się, i gotowi byli projektu zaniechać, hr. Szehenyi natychmiastową ofiarą 2,000,000 guldenów jednym zamachem usunął wszystkie namysły i wątpliwości.

W początkach Listopada zapadł wyrok w sprawie o nadużycia spełnione w Lwowskiej kasie oszczędności. Obwinionych wszystkich, jacy pozostali przy życiu, uwolnił sąd przysięgłych, wypadałby tedy wniosek, że winowajcami byli ci, którzy umarli. Uwolnienie to uważać należy jako ostateczne, ze względu, że prokurator zrzekł się prawa apelacyi do instancyi wyższej.

Tak zupełnego rozgrzeszenia nie przewidywała chyba opinja, dlatego można powiedzieć, że wygłoszeniu werdyktu towarzyszyło zdumienie, ale są takie rzeczy do pewnego stopnia przewidziane, ile razy idzie sprawa pod rozpatrzenie sądu przysięgłego. Brak fachowej oceny, przy władzy nieledwie że dyskrecyonalnej, wytwarza niespodzianki podobne, które w wypadku danym zaostrza zachowanie się wobec nich samych nawet organów sprawiedliwości. Wspomnieliśmy, że urząd prokuratorski nie założył opozycyi przeciw wyrokowi, tem dziwniejszym przeto wydaje się raport prezydującego w wyższym sądzie krajowym dr. Tchórznickiego, który w dniu ogłoszenia wyroku wysłał do ministra sprawiedliwości dr. Kindingera telegram tej treści: „Ku oburzeniu wszystkich ludzi uczciwych, oskarżeni uwolnieni wszyscy.” Dodawszy do tego, że dr. Tchórznicki ma na sprawę wyrobione zapatrywanie całkowicie uzasadnione, zanim bowiem przyszła rzecz pod rozpatrywanie sądów, był członkiem Galicyjskiej kasy oszczędności, wyrok sam nabiera szczególnego zabarwienia.

Idzie w dalszym ciągu o echa tej katastrofy. Są one bardzo głośne w prasie Wiedeńskiej, która święci jeden ze swoich tryumfów, mogąc za winy jednostek rzucić błotem na całe społeczeństwo, postawić je pod zarzutem nieudolności próżniaczej i gotowości do przeniewierstwa każdochwilowej. Mniejsza o to, że obelga dostaje nam się od przeciwnika więcej niż podejrzanej moralności, fakt zostaje faktem, dziewięciomilionowy uszczerbek pieniężny udowodniony i stwierdzony, a nadomiar katastrofy, bezkarność zapewniona tym, którzy bezpośrednio lub pośrednio wywołali skandal. Wobec żywiołów nieprzyjaznych narodowości naszej w państwie Austryackiem, musimy przyznać, że stanęliśmy nader niefortunnie, a werdykt uniewinniający nietylko położenia naszego nie poprawia, ale je owszem bardzo dotkliwie pogarsza.

Słów kilka pozostaje do powiedzenia, w jaki sposób manifestuje się opinja w łonie samem naszego społeczeństwa. Gdyby za jej miarę brać organa prasy galicyjskiej, niebyśmy ztamtąd ku otusze poczerpnąć dla siebie nie mogli. Przerzućmy niektóre z wybitniejszych sprawozdań, a zobaczymy, jak się to rozmaicie zapatrywać mogą ludzie jednego stopnia rozwoju umysłowego na ten sam fakt, gdy tym ludziom sąd trzeźwy raz zamąci namiętność stronnicza.

Oto niektóre próbki:

„Gazeta Narodowa” mniema, że właściwie wyrok krytykowanym być nie powinien, bo go podyktowało przekonanie szczere. Winowajców niema między żyjącymi; ci, których widzieliśmy przed sądami, wpływają do sprawy epizodycznie i ubocznie. Z drugiej strony przyznaje dziennik, że opinja nie otrzymała należytego zadośćuczynienia. Zarzucić można, zdaniem tego pisma, zagmatwanie sprawy sądom samym, które pomięszały niefortunnie obwinionych, źle badały świadków i nie umiały udowodnić winy tam, gdzie wina była jawną i oczywistą. Wobec straty niewątpliwej 9 ciu milionów nie powinien był pozwolić sobie także obrońca na jakieś stawianie jednego z głównych obwinionych w panteonie narodowym. Jeśli sentymentalizm, niepraktyczność, zaniedbanie i hazard zrodzić mogą te same następstwa, co zła wola i przeniewierstwo, to należy oskarżyć sentymentalizm i niezaradność.

„Dziennik Polski” przyznaje, że wielkie są szkody materyalne a moralne następstwa jeszcze gorsze. Każdy ma prawo zapytać, gdzie są miliony, a gdy się przekona, że niema milionów, pytać będzie o winowajców. Otóż niema ani jednych ani drugich. Źle sporządzony akt oskarżenia, nieumiejętne ugrupowanie winnych i złe określenie istoty przestępstwa, nie pozwoliły na objęcie oskarżeniem rewidentów kasy i winnych pośrednio roztrwonieniu funduszów tak ogromnych.

„Słowo Polskie,” które jeszcze w roku bieżącym było organem jednego z głównych obwinionych, hojne jest w pochwałach dla orzeczenia przysięgłych, i niefortunne bardzo w hymnach swoich niezdarnych dla obywatelskiej działalności tego, przez którego ręce przecedziła się większość roztrwonionych kapitałów. Jest tam mniej więcej ten sam kierunek myśli, którymy przed paru tygodniami podali czytelnikom, jako ujawniony i w naszej także prasie. Dużo słów próżnych, dużo deklamacyi, przykre nader wywierającej wrażenie, spotykamy w tym panegiryku niesmacznym. Cnotą obywatelską, poświęceniem, apostolstwem zapoznanem przez ogół niewdzięczny, przepełnione są szpalty tego pisma. Wszystko to jest bardzo dobre, ale kto zwróci łatwowiernym wkłady, kto zaradzi zachwianiu kredytu, kto podźwignie w szacunku ludzkim naszą działalność publiczną? Wobec tak świeżej i tak tragicznej porażki nieprzyzwoitemi wprost są uwielbienia wygłaszane na cześć jej sprawców.

„Przegląd Katolicki“ znowu ubolewa, że po tak wielkiem spełnionem przestępstwie niema zadośćuczynienia — niema kary. Pismo mówi z umiarkowaniem, nie domaga się głowy winowajców, ale idzie mu o to, że brak jest w tej sprawie nawet potępienia istoty czynu w zasadzie. Wobec takich zniszczeń kolosalnych, wyrok przysięgłych zdaje się mówić, że ostatecznie nic tak dalece strasznego się nie stało.

Trudno w istocie — powiedzieć musi każdy po przyjęciu do wiadomości tak różnorodnych sądów — trudno spodziewać się czegokolwiek od społeczności, której duch stronniczy ujawnia się przy każdej sposobności w tak przykry sposób. Chaos!

K.

Helena Geysinger.

NICI PAJĘCZE.

NOWELA.

(Dalszy ciąg).

Doktór Biegański badał chorą długo, uważnie, skrupulatnie; głęboka zmarszczka wystąpiła mu na czoło. Po porozumieniu się z młodszym kolegą, wyprowadził pana Tomasza do przyległego pokoju.

— Jest chwilowy paraliż nerwu wzrokowego — rzekł powoli — sprawa cała na tle nerwowem. Po paru dniach, gdy chora uspokoi

się, spróbujemy elektryzacyi. Tymczasem nie rozdrażniać, nie denerwować! Przepiszę całą kuracyę. A niechże szanowny pan nie bierze znów tego wszystkiego zbyt seryo. Nerwy, nerwy, kochany panie! Musiało tam być jakieś przejście nagłe z wrażenia do wrażenia. No, ale to minie prawdopodobnie. Do widzenia panu. Spróbujemy elektryzacyi.

— Powiedział, że oślepnę, prawda, prawda tatusiu?!

Klęczała na łóżku z załamanemi rozpacznie rękami, w płaszczu długich, jasnych włosów.

Olszyński w pierwszej chwili nie zdołał wypowiedzieć słowa. Mówiła mu zawsze poważnie: ojcze. Dziś wyrwało jej się to dziecinne nazwanie. Było też w jej twarzy przerażenie dziecka, które straszą powieścią o smoku, o czarach, o upiorze.

Spazm gwałtowny chwycił go za gardło, ale się opanował.

— Nie, dziecko, nie! To minie wkrótce, za parę dni minie. Elektryzacya usunie złe. No, nie bój się! To drobnostka! Nerwy po prostu. Przeraziłaś się, mały tchórzu, i koniec... Widzę, że mi nie wierzysz, ależ tak Ello, daję ci słowo honoru, doktór ręczy, że to przejdzie wkrótce.

Wziął ją w objęcia i tulił jak dziecko.

— Proszę pana, pan Karol czeka i pyta, czy może wejść?

— Nie, nie! Ojcze, ty idź do niego... powiedz mu...

Niejasne, niepewne odpowiedzi służącej wprowadziły Karola w stan gorączkowego niepokoju. Gdy ujrzał zmienioną, pobladłą twarz stryja, rzucił się ku niemu.

— Co się tu stało? Czy Ella chora?..

— No, w gruncie rzeczy nic okropnego. Nerwy—zwyczajna babska historya. Biegański mi zaręcza, że to minie, za parę dni może...

— Ale co? Na miłość Boską, mówcież!

— A wyobraź sobie, ona nie widzi.

— Nie widzi?

W pokoju zaległo milczenie.

Karol przypomniał sobie chwilę, gdy namiętnie całował te piękne, te kochane oczy.

— To być nie może. To nie może być — szeptał zbielałemi wargami.

— Ależ powiadam ci, że to chwilowe tylko.. elektryzacya...

— Elektryzacya—powtórzył Karol.

— No, tak! Trzeba tylko, żeby wpierw uspokoiła się trochę.

Karol podniósł głowę

— Więc Biegański powiada, że to nic!

— Nic—poprostu nerwy. Idź do niej, pociesz ją, rozerwij.

Karol na progu zawahał się. Zrobiło mu się jakoś dziwnie... Po chwili jednak był już przy łóżku Elli i całował drobne jej ręce.

Po twarzy dziewczyny spływały cicho łzy.

— Nie widzę cię, nie widzę was, tak mi ciemno — skarżyła się słabym głosem dziecka.

Zaczęli ją znów zapewniać, że to drobnostka, pocieszać nadzieją cudownych skutków elektryzacyi. Mówili z taką wiarą, z takiem zaufaniem i pewnością siebie, że nietylko jej, ale i własne obawy uspokoić zdołali. Gdy Ella po bezsennej nocy i wzruszeniach poranka zasnęła wreszcie, rozeszli się w usposobieniu prawie wesołem.

Gdy właśni zawodzą prorocy, jedzie się zwykle szukać pomocy u obcych bogów, u cudzych ołtarzy.

Od kilku miesięcy jeździ już pan Tomasz po Europie, bajeczne sumy rzucając pod nogi najsławniejszym lekarzom; z jednej miejscowości kuracyjnej przewozi córkę do drugiej; gdy jedna zgaśnie nadzieja, chwyta się nowej. I tak wciąż.

Twarz Anieli w ciągu tych kilku miesięcy straciła wdzięk swój napoły dziecięcy, postarzała, przystroiła się w smutek i powagę. Różowe usta jej pobladły i osiadło na nich stale bolesne skrzywienie — czoło przecięła prosta, surowa linia. Dotkliwe i długotrwałe bóle głowy wycieńczyły wątły organizm. Wydaje się wyższa, szczuplejsza, starsza.

Z początku Karol towarzyszył im w podróżach, później powrócić musiał do przerwanych zajęć biurowych. Słał tylko listy pełne tęsknoty, smutku i niepokoju. A na pytania jego nie przychodziła nigdy oczekiwana wciąż, radosna odpowiedź. Z oczu ukochanej nie opadała zasłona, którą w owej fatalnej chwili zakryło je przeznaczenie.

W liście Ella napisała mu:

„Powracam. Chciałabym odetchnąć tamtem waszem powietrzem. Przewędrowałam kraje świata i szlę ci liścik napisany nie złotoócznem piórkiem pawia, ale ręką, której nie pilnują oczy. Czuję, że plączę litery, łamię linie; może tego odcyfrować nie zdołasz.

„Wiem, że nie zobaczę bladego błękitu nieba i ginących na kresach widnokręgu żórawi, ale mi trzeba wietrzyku tego, który wtedy pieścił nasze twarze i pocałunki przenosił z ust na usta... pamiętasz?..”

Powróciła. I znowu Karol całował jej ręce, a ona czuła na rękach gorącą rosę jego łez. Powrót do kraju był zrzeczeniem się cichem, przez nikogo z tych trojga nieprzyznanem głośno—zrzeczeniem się nadziei.

Ella znalazła w mieszkaniu swojem wszystko na tych samych miejscach, co dawniej; chodziła po pokojach i dotknięciem rąk witała znajome sprzęty, zatrzymywała się przy rozpiętem na stalugach płótnie i drobnymi palcami dotykała rzuconych tu niegdyś plam. Niewykończone rusałki - tanecznice patrzyły na nią pytającym wzrokiem. Do róż, kwitnących na środku pokoju przykładała usta i zdawała się szeptać kwiatom skargi jakieś czy zwierzenia.

Za to z ludźmi niechętnie wdawała się w rozmowy. Małomówną była i przedtem, teraz trzeba było dopraszać się u niej o słówko. Przyjaciółki nie miała nigdy. Towarzyszki, rówiennice poczęły odwiedzać ją tłumnie, ciekawość mieszając ze współczuciem, potem usunęły się nagle, niby strwożone. Młodość małodusznie cofa się przed nieszczęściem. Ella przerażała je martwym, tajemniczym spokojem. W jej obecności milkły ich szczebioty, konała wesołość pusta.

Pan Tomasz wstrząśnięty do głębi doznaną klęską, nie mogący wyrobić w sobie na razie potrzebnego stopnia rezygnacyi, rozchorował się na dobre. Ella chciała czuwać nad nim, pielęgnować go, o ile na to pozwalało jej kalectwo, ale po kilku dniach wydało jej się, że obecność jej rozdrażnia chorego i cicha odeszła do swoich pokoików. Istotnie Olszyński nie mógł patrzeć spokojnie na słaniającą się niewidomą dziewczynę. Na jej widok zrywał się i szarpał, kląć i bluźnić miał ochotę. Najszczęśliwszą chwilą w dniu były teraz dla Elli odwiedziny Karola. Przynosił jej tchnienie młodości, życia, wesela. Umiał rozpędzać chmurę na jej czole, zwracać myśl jej z rozpacznych dróg, któremi błąkała się w samotności. Miał w sobie tyle blasków, tyle słonecznej pogody, że promień jakiś zdawał się padać z duszy jego w świat nieprzejrzanych mroków, w których żyła. On był teraz jej słońcem, był światłością jej ciemnych oczu. Opowiadał jej o świecie, o barwach jego i blaskach, a opowiadał w taki sposób, że rozweselał biedną zamiast ją zasmucać. Przeżywała z nim razem drobne fakta codziennego życia, których świadkiem bywał lub uczestnikiem, cieszyła się jego przyjemnościami, martwiła niepowodzeniem, bawiła, nawet śmiała się z nim razem.

Przychodził zwykle wieczorem i spędzał z nią długie godziny, przynosił kwiaty, książki, czytywał jej głośno, lub grywał na fortepianie. Miał dużo muzycznego instynktu, choć biegłości niewiele; usłyszaną raz melodyę powtórzyć umiał w najdrobniejszych szczegółach—więc znosił jej melodye ze świata. Ella, którą dawniej pociągał bardziej świat barw i linii, teraz zaczynała rozmiłowywać się w świecie tonów—z rozkoszą godzinami całemi słuchała Beethovena; przez dzień cały oczekiwała wieczoru.

Stopniowo rozwinęło się u niej, właściwe niewidomym, przeczulenie pozostałych zmysłów, czy też przeczuciowość jakaś. Wiedziała że Karol nadchodzi, wtedy gdy on mógł znajdować się dopiero na rogu ulicy. Czuła że się zbliża, czuła każdym nerwem, każdą cząstką swej istoty. Gdyby mogła, biegłaby naprzeciw niego, wyciągnęłaby ku niemu ręce... do piersi jego przycisnęłaby zbolałą głowę... musiała czekać cierpliwie. Ale gdy przyszedł nareszcie, gdy wziął jej rękę w swoją, drobna ta ręka drżała jak ptak złapany. Parę razy zastał ją bliską omdlenia. Zazwyczaj jednak uspakajała się wprędce. Jego obecność, głos, swobodny sposób obejścia, uciszały burzę zrywającą się w tym wątłym organizmie.

Jednego wieczoru Ella czekała napróżno. Karol nie przyszedł.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA.

Szulerstwo na prowincyi.

Pod tytułem „Żydowskie sztuczki“ podaje „Słowo“ wiadomość o coraz szerzej rozpowszechniającem się wśród ludu gubernii Lubelskiej zamiłowaniu do gier hazardownych. Krzewicielami tej zarazy są podobno żydzi, używający wszelkich możliwych sposobów, praktykowanych zazwyczaj do rozbudzenia w człowieku ciemnym żądzy zbogacenia się. Są tedy i kości, i karty, i fortele prestidigitatorskie, bardzo elementarne dla sfery oświeconej, ale wystarczające zupełnie do rozniecenia namiętności i wyprowadzenia w pole umysłu prostego wytrąconego z równowagi chęcią łatwego zysku. Złe przybiera znaczne rozmiary, chłopi bowiem przegrywają na jarmarkach po kilkadziesiąt rubli na raz jeden.

Mamy tedy i prowincyonalną organizacyę hazardu, acz nie wzorowaną na organizacyi warszawskiej. Może być, że ta prowincyonalna mniej ponętna w formie i nie tyle udoskonalona w wykonaniu, co wielkomiejska, ale za to w skutkach obie jednako zbawienne i równy zaszczyt przynoszące ich twórcom i propagatorom. „Les beaux esprits se rencontrent,“ jak mówią francuzi. Pedagogowie społeczni warszawscy warci są swoich epigonów na prowincyi.

Rozporządzenie testamentowe.

Zmarły przed paru tygodniami w Szwajcaryi ś. p. Bolesław Hirschfeld, o którego śmierci zawiadomieni byli czytelnicy „Tygodnika,“ pozostawił ostatnią wolę swoją, mocą której stanowiący własność jego instytut wód mineralnych w ogrodzie Saskim, przeznaczony jest matce i dwom siostrom. Oprócz kilku jeszcze legatów dla bliższych krewnych i służącego, resztą majątku obdarowywa testator cztery osoby, mianowicie: Mieczysława Brzezińskiego, małżonków Męczkowskich, Stanisława Michalskiego i Stefanię Sempołowską. Wykonawcą testamentu naznaczył spadkodawca adwokata Tadeusza Strzembosza.

Pogadanka.

O modach.

Wielkie jesienne kapelusze z ciężkiem bogatem przybraniem odpowiedniejszymi byłyby na porę zimową, ale zima ma już strój głowy przepisany i zapowiedziany. Czytamy właśnie o toczkach z futer kosztownych, które zsunięte z głowy, odsłaniać mają nastroszoną z przodu fryzurę. Kapelusze jesienne przypominają smutną porę przejściową—doborem jaskrawych barw o odcieniu konających liści, lub też przypominających popielatolazurowe niebo Listopada. Układ, chaos kolorów, jest w guście francuzkim—fasony angielskie. Kwiaty zniknęły z widowni, aksamit i filc, oto materyały podstawowe; tiul i aksamit w lekkich i ciężkich rozetach służą jako przybranie. Skrzydła, egretki, klamry z kolorowego strassu, to akcesorya, bez których kapelusz wykończonym być nie może. Z tych dodatków zręczne modystki upinają arcydzieła swej sztuki, opłacane setkami franków; toaleta wizytowa lub na jour-fixe nie byłaby kompletną, gdyby nie uzupełniał jej odpowiedni kapelusik. Między wszystkimi wytworami kapeluszowymi wielką rolę grają pióra strusie czarne, i czy to do jasnej toalety, czy do lekkiego kapelusza, zawsze dobrze bywają widziane, przytłumiając zbyt śmiałą czasem ostrość kolorów i dodając całości pewnej cechy dystynkcyi.

Skromność wielka obecnych fasonów sukien sprawiła niezawodnie, iż pewna ekscentryczność, którą panie lubią, wyniosła się aż na kapelusz. To też jakie wykręcanie i wykrzywianie dziś w modzie! Podstawą właściwie jest zwykła pasterka o główce wyższej lub niższej, lecz za to rondo, to opuszczone z tyłu, podnoszące się budkowo nad czołem, to znów boki w górę lekko odwinięte, a przód spuszczony i zagięty na włosach. Często lewy podniesiony sztorcem do góry, służy za podstawę trzem piętrom piór strusich, lecz bądź co bądź dziwadła te powykręcane, ładne kobiety ubierają bardzo! Także i forma Dyrektoryatu t. j. stojąca w górę buda bez główki, z długimi końcami tiulowymi jest bardzo w modzie. Stosuje się do długich mocno wcinanych paletotów damskich, gdy natomiast do par-dessus męzkich powinny panie, tak jak zagranicą, używać skromnych wiedeńskich filcowych, gdyż tylko takie są stylowe.

Ponieważ zapotrzebowanie piór strusich jest tak znaczne, zatem i cena ich podniosła się bardzo, zastępują je więc piórkami fantazyjnemi. Całe skrzydła lub pojedyncze długie pióra sokole, orle—ot co dziś damy na kapeluszach zatykają. Piórka mniej ładne, którym natura kolorów wspaniałych odmówiła, bywają sztucznie farbowane i niejedna czystej krwi Paryżanka, olśniewająca oryginalnością piórek na kapeluszu, nosi może piórka z gołębi nadwiślańskich, tylko że te dopiero po odbyciu dalekiej podróży do Paryża, jako materyał surowy, ztamtąd jako nowość rozleciały się wykończone po całej Europie, Ameryce i Bóg wie gdzie jeszcze.

Woalka przestaje być niezbędną towarzyszką modnych elegantek, trudno ją bowiem przyczepić do olbrzymich kapeluszy, a i szarfy tiulowe, wiązane pod brodą w szerokie kokardy, stanowią niemałą przeszkodę.

Do tych kapeluszy odpowiednie są i fryzury, lub też kapelusze stosują się do dziwacznych fryzur, które w obecnej chwili bardzo mało panie ubierają, gdyż gęste opuszczone pukle, zachodzące głęboko na czoło, nadają twarzy jakąś ponurość, oko traci wyraz i zapada pod cieniem włosów gdzieś głębiej.

W tych tygodniach zakończyła szereg gościnnych występów w Berlinie słynna artystka paryzka Rejeane. Pisma niemieckie zachwycając się talentem, rozmaite uszczypliwe robią uwagi nad ekscentrycznością toalet, które na tle bezgustownem nadsprewskiej stolicy, może się więcej akcentowały. Uznano, że nie posiadały tego wdzięku, którego spodziewano się po głośnej artystce, ale nad fryzurami jej tępią formalnia pióra! Le coiffures de chien, w których Rejeane przeważnie się ukazywała, drażniły nerwy niemieckie, a szpecić miały przystojną bardzo kobietę. Podnoszą wobec tego nieładu i niesforności włosów, dystyngowaną i skromną fryzurę angielską i są pewni, że hairdresser angielski zwycięży stanowczo paryzkiego Leutherie'a.

Zdaje się także, że wszelkie tynktury i spirytusy, których panie używały ostatnimi czasy tak bardzo dla nadania odrębnego koloru włosom, należą do przebrzmiałych kosmetyków. I znowu kobieta wprowadza tę reformę, lecz tym razem Polka p. Wanda Bończówna, której talent wybitny w rolach klasyków fin de siècle, ściąga tysiące wielbicieli. P. Bończówna, hojnie przez naturę obdarzona, ma wszakże typ zupełnie nie słowiański. Czarne, pełne ognia oczy nie same tylko zwracają uwagę—brwi długie, gęste, prosto zarysowane, prawie spływające się razem, nadają dziwny wyraz całej fizyognomii. Te brwi nie mogły harmonizować z tycyanowskim kolorem włosów, to też rzuciła pierwsza wszelkie smarowidła i czaruje powabem oddawna w Paryżu zapomnianym—naturą!

Złożono na sanatoryum

dla suchotników:

Od dzieci z Malinek rs. 5.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Żab... z nad Wisły. Informacyi udzielić może Redakcya „Tygodnika Illustrowanego.“

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i prospekt „Gazety Polskiej.“

Дозволено Цензурою Варшава, 8 Ноября 1899 г. Redaktor Jan Skiwski DODATEK.
Wydawnictwo i Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Andrzej Theuriet.

ZACISZE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

— Matko kochana — mówił Robert ze wzruszeniem — samotności, na którą się oburzasz, możesz jednem słowem położyć kres. Przyjmij panią de la Bannerie za synową, a będziesz mieć dwoje dzieci oddanych ci wiernie i wdzięcznych do śmierci.

— Nigdy! Nigdy, rozumiesz, nie przyjmę do mego domu tej kobiety, tego nieszczęścia mego życia. Ty chyba przychodzisz, żeby mi urągać.

— Gdybyś przynajmniej znała ją, gdybyś się przekonać chciała o wartości jej umysłu, dobroci serca, gdybyś znała prostotę jej upodobań—przekonany jestem, że cofnęłabyś surowe słowa twoje.

Posłuchaj mnie matko! Zdobądź się na jedną jeszcze ofiarę dla mnie. Gdybyś ty matko chciała — mówił tonem błagalnym, — choćby na krótko przyjechać do Talloires! Toby ci dało możność osądzenia sprawiedliwego tej kobiety, a jeśli i potem nie złagodzisz wyroku, będziesz mieć to przeświadczenie, że nie postąpiłaś lekkomyślnie, że nie sądziłaś bez zbadania sprawy.

— Nie! powiedziałam że nie!—wołała stara kobieta cofając rękę — nie uświęcę swoją obecnością związku, który potępiam. Jak ty śmiesz proponować mi pożycie z nią pod jednym dachem—z nią...

— Nie mów tak, matko; chciej zrozumieć na Boga, że ona jest żoną moją dla tych wszystkich ludzi, którzy znają nas i utrzymują z nami stosunki.

— Niemniej byłoby to z mojej strony współudziałem w kłamstwie.

— Kłamstwie pobożnem, pozwól sobie zwrócić uwagę. Zresztą przez litość dla mnie zrobisz to—ja ciągle spodziewam się, że zrobisz. Jeśli mi przyznasz racyą, to powrócimy małżonkami w nasze strony; jeśli cię Łucya nie zdoła zjednać dla siebie, to przecież i tak będzie ci wolno zaprzeć się nas. Na to nieszczęście i na tę ostateczność zawsze dosyć czasu.

— Głupstwo! — absurd! To będzie sekret, o którym nikt nie będzie wiedział, prócz wójta i całej gromady. A najprzód twoja siostra, boć przecież choćby jej jednej będę musiała się przyznać, gdzie wyjeżdżam. O tych tam twoich sąsiadów Sabaudczyków nie chodzi mi wcale, ale obstaję co do siebie przy szacunku tych, którzy mnie otaczają.

— Alboż ty matko nie jesteś na tyle panią u siebie, iżbyś się przed kimkolwiek usprawiedliwiać potrzebowała. Powiesz poprostu, że jedziesz odetchnąć po pracy. Przekonasz się, że będziesz otoczona całym szacunkiem, do jakiego masz prawo.

Pani Bellevaux przechodziła, znać to było, całą walkę wewnętrzną między despotyczną naturą swoją, a uczuciem miłości dla syna, którego można powiedzieć, że kochała po swojemu. Bladła i rumieniła się na twarzy, chodziła szybkimi krokami po pokoju i siadała oplatając głowę rękami, w końcu zatrzymawszy się przed Robertem, odezwała się do niego głosem gniewnym:

— Dobrze! stanie się, jak sobie życzysz. Robię to dla ciebie i ręczę ci, że to nie jest jedna z najmniejszych ofiar mojego życia. Ale w interesach bawić się nie wolno nieobowiązującymi do niczego ogólnikami. Stawiam sobie jako warunek, abyście razem z tą panią nie brali mego przyjazdu za jakieś milczące przyzwolenie.

— Zgoda na wszystko, ale i ty matko pamiętaj niedopuścić w otoczeniu mojem wątpliwości nawet, co do zaniechania dotąd między nami aktu małżeństwa.

— O to możesz być spokojnym. Zresztą, jakżebym ja tam wyglądała w takim razie; własna godność zmusza mnie do stania się wspólniczką waszego kłamstwa.

Robert dziękował z serca mimo ostrego tonu, którem przemawiała matka, zgadzał się na wszystko, byle mu naznaczyła dzień swojego przyjazdu do Talloires.

— Jedź do siebie. Za ośm lub dziesięć dni najwyżej dam ci znać o sobie..

Ale w tej chwili usłyszała turkot nadjeżdżającego powozu i zwracając się do Roberta dodała spiesznie.

— Oto twoja siostra przybywa z mężem. Zgadzam się z tobą co do konieczności utrzymania przed nią w tajemnicy tego, o czem mówiliśmy tutaj.

XI.

Uprzedzona telegramem Łucya, oczekiwała Roberta przy debarkaderze jeziora z niepokojem odpowiednim do drażliwości położenia. Po serdecznym powitalnym uścisku udali się natychmiast wązką ścieżyną, na której nie spodziewali się znaleść nikogo, a kiedy im zniknęły z oczu chaty rybackie ostatnie, ona pierwsza rzuciła mu pytanie:

— No i jakże? — z czem powracasz do nas?

— Miałem bardzo długą utarczkę — mówił Robert drżącym głosem. Rozumie się, że trafiłem zrazu na opór nieprzełamany, ale żeby cię nie nużyć długiem opowiadaniem, powiem odrazu, że zdobyłem wielkie ustępstwo.

Tu opowiedział jej, jaką koleją doszło do tej propozycyi przyjazdu do Zacisza, ale w miarę jak mówił twarz Łucyi zachmurzała się, i to tak wyraźnie, że bez odezwania się mógł Robert wiedzieć, w jaki sposób podziałało na nią to sprawozdanie.

— Nie mogę dzielić twoich złudzeń, biedaku — mówiła Łucya z westchnieniem. — Owszem, te odwiedziny przerażają mnie, a instynkt ostrzega, że środek zbawczy może się okazać gorszym, niż sama choroba. To, co mi wiadomem jest od ciebie o charakterze twojej matki, pozwala przewidywać w każdej chwili jakąś niespodziankę, która wszystko zepsuje. Pod nieobecność twoją zjechali Villardowie do Marroniers, a w ślad za nimi Lang i Combette. Czyż w obec tych ludzi obcych potrafi się ta kobieta utrzymać w roli?— jedno słowo mniej oględne zdradzi wszystko. Będziemy ciągle na jej łasce.

— Bądź spokojna. Uprzedziłem matkę, iż wszyscy uważają nas tutaj za dwoje małżonków. Może ona mieć różne niedostatki w charakterze swoim, ale jest przedewszystkiem kobietą umiejącą dotrzymać danego słowa. Alboż to wreszcie nie leży w interesie jej samej także.

— Z pewnością pragnę ja, aby było tak, jak mówisz, ale obawa nie opuszcza mnie, bo zważ sam, jak drażliwą jest odnośnie do matki twojej pozycya Odetty i moja. Nie przewidziałeś tego, jak surową będzie ona w sądzie swoim o naszem obejściu towarzyskiem, odezwaniu się każdem, ubraniu wreszcie; wszystko bez wyjątku razić ją będzie — ją, tak surową i uprzedzoną na naszą niekorzyść. Jakże tu łatwo o nieporozumienie.

— Idzie właśnie o unikanie tego, co prowadzi do nieporozumień. Liczę na twój takt i dobre serce Odetty. Nie zapominajcie obie, że ma to być próba, od której zależą nasze losy.

— Oceniam ważność położenia i bądź przekonany, że od dziś zabieram się do dzieła, a najprzód postaram się przygotować Odettę.

Jakoż po południu znalazłszy się z córką na osobności, zaczęła pani Łucya:

— Dziecko moje, za parę dni spodziewamy się w Zaciszu pani Bellevaux...

— Chwała Panu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli. Słyszałam, że stara dama nie czaruje wdziękiem obejścia. Oddajmyż się Bogu...

— Proszę cię, Odetto, daj pokój żartom niewczesnym. Moja teściowa jest to osoba starej daty, i jako taka ma swoje nawyknienia i swój sposób zapatrywania na wiele rzeczy, różny dosyć od naszego. Jest zatem jedna przyczyna więcej, aby się mieć na baczności. Między pobudkami, jakie mieć powinnaś do przygotowania dla niej jak można najżyczliwszego przyjęcia jest, wierzaj mi, ten wzgląd, iż od jej woli najbardziej zależnem jest twoje przyszłe małżeństwo z Maurycym.

— Oh, jeśli tak, to będziemy róże podściełać babuni, a najprzód, aby była ulokowaną po książęcemu, ustępuję jej mego pokoju.

— Dziękuję ci, moja córko za tę ofiarę, ale niestety nie będzie to ostatnia, jakiej mi przyjdzie zażądać od ciebie. Czuwać musisz nad każdem wyrazem swoim, a nadewszystko zawiesić na czas jakiś twoją swobodę słowa i ton stanowczy, które mogłyby się wydać czemś niesłychanem osobie, od tak dawna zamieszkującej prowincyą. Nadewszystko Odetto pamiętaj o twoim sposobie żartowania

i gwarze przyjętej w świecie artystycznym. Liczyć się musimy z przesądami osób, które odwiedzamy, a jeszcze bardziej z przywidzeniami tych, których przyjmujemy u siebie.

— Uśnij mateczko droga na obydwa boki. Będę wzorem poprawności i pruderyi. Dosyć ja się w klasztorach napatrzyłam na różne zmanierowane gołębice, żeby mi miało być trudnem wejść w skórę jednej z nich na czas pewien. No jakże, czy tak?

A pochyliwszy z przesadną pokorą głowę i przymknąwszy powieki, skrzyżowała obie dłonie na piersiach, i w tej pozycyi nad wyraz komicznej oczekiwała na pochwałę macierzyńską.

— Widzisz — ładny początek. Niedobre stworzenie — nigdy nie będziesz umiała znaleść się poważnie.

Zakończyła się rozmowa między matką a córką pocałunkiem, którym obie starały się dodać sobie odwagi.

Od rana dnia następnego zaczęły się w Zaciszu przygotowania. Dwie silne Sabaudki oczyszczały willę od piwnic do poddaszy. Omiatano pajęczyny, myto i woskowano posadzki, trzepano meble, zawieszano firanki i portjery, poczem przystąpiła pani Łucya do nadania mieszkaniu całemu tej fizyonomii, która wedle jej przewidywań najlepiej harmonizować mogła z upodobaniami p. de Bellevaux. Ale nacisk główny położono na wynicowanie pokoju Odetty, w którym dużo w istocie trzeba było odmienić, aby mógł przyjąć nową mieszkankę. Zamiast alpenstocków, rakiet tennisowych, łyżew, wszystkiego jednem słowem, co nadawało pokoikowi pieczątkę artystyczno-sportową, zawieszono klatki z ptaszkami, a gipsowe modele Wenery Milońskiej, Śpiącego Fauna i Dianny Łowczyni dostały odpowiednie kitajkowe kostjumy. I gdy wszystko było już należycie wymyte, oczyszczone, odmuchane i gdzie potrzeba osłonięte, Robert odbył przegląd i wyraził wątpliwość azali matce jego łatwo będzie znaleść sposobność do jakiejkolwiek przygany.

W dwa dni potem telegram oznajmił przybycie pani de Bellevaux nazajutrz, a Robert, aby dać Łucyi czas na skupienie sił do przyjęcia pierwszego ataku, pojechał sam na przyjęcie do Annecy.

— Zaprowadzę matkę moją — mówił — do hotelu] angielskiego na śniadanie, potem ona będzie zapewne chciała wypocząć, a w Zaciszu powinnibyśmy być mniej więcej na godzinę czwartą.

Pozostawione samym sobie matka i córka, starały się nabrać odwagi, ale udało się to tylko Odecie, która nieświadoma głównego powodu niechęci tej staruszki nieznanej, czuła się dosyć swobodną, podczas gdy jej matkę z każdą upływającą godziną odwaga bardziej opuszczała. Współczując temu jej rozdrażnieniu Odetta, która była bardzo dobrem, choć trochę samowolnem dzieckiem, robiła z siebie co mogła, aby nieprzysparzać powodów do niezadowolenia. Włożyła tedy suknię jak najpedantyczniej zachodzącą pod szyję, przyczesała jak najgładziej swoje bogate włosy, tak, że zupełnie dobrze odbijała od powagi matczynej i surowości jej czarnego ubrania.

— Biedna mamo—mówiła z ubolewaniem— blada jesteś jak opłatek.

— Już trzecia godzina — wybąkała w odpowiedzi matka, której wszystkie myśli biegły teraz w ślad za poruszającemi się skazówkami zegara.

— Eh! bo ty mamo przesadzasz chyba. Przecież ta pani Bellevaux nie może być znowu upiorzycą jakąś—nie połknie nas odrazu. A zresztą gdybyś ty widziała, jak wyglądasz mimo przejrzystości twojej. Co tu mówić! Jak cię zobaczy, to przekona się, że milszej, lepszej i piękniejszej niema na świecie całym.

Pociągnęła matkę ku werendzie, i tam oparte o balustradę wpatrywały się obie w uroczy krajobraz słoneczny, który w istocie mógł dodać otuchy i uspokoić wzburzenie wewnętrzne. Nie trwało to jednak zbyt długo, bo Odetta, która miała wzrok bystry, zawołała nagle z mimowolnem drżeniem w głosie.

— Patrz mamo, statek!

W istocie „Korona Sabaudyi" wychylała się z po za grupy skał i zbliżała szybko ku debarkaderowi. Pani Łucya wpatrzyła się w nią szklannemi oczyma i byłaby pozostała w tej martwocie dłużej, gdyby ją nie była Odetta przywołała do rzeczywistości.

— Chodźmy do pokoju — będą tu za dziesięć minut.

Przytulone do siebie, siedziały tak chwil kilka, aż usłyszały szybkie kroki służącej, która na odgłos dzwonka przy kracie, biegła otworzyć bramę.

— No, a teraz odwagi! — zawołała Odetta, przywołując na twarz sztuczny uśmiech. Nie taki straszny...

Nie miała czasu domówić reszty, pani Bellevaux wstępowała już na schody werendy. Na pierwszy rzut oka nie raziła niczem. Suknia ciemnozielona bez ozdób, kapelusz właściwy kobietom starym, w ręku woreczek z okuciem stalowem — oto wszystko, co uderzało na razie.

— Matko — odezwał się Robert, widząc naprzeciw idące dwie kobiety, matkę i córkę— oto moja kochana Łucya, a to Odetta, o której ci mówiłem także.

Pierwszym popędem Łucyi było powitać uściskiem matkę Roberta, ale zmrożona wyraźnem uczuciem niechęci odbitem na twarzy przybywającej, w żaden sposób nie mogła tego wymódz na sobie.

— Witam panią serdecznie, oto były słowa jedyne, na które się zdobyła.

Stara dama sztywno dotknęła końca palców ręki, które się do niej wyciągnęły—i wycedziła z akcentem odniesionego nad sobą zwycięztwa.

— Raczy pani przyjąć moje pozdrowienie — dzień dobry — dodała, zwracając się do Odetty.

— Wejdźmy — przerwał Robert, chcąc położyć koniec tej scenie wzajemnego przymusu. Może pozwolisz, matko, posilić się czemkolwiek po twojej podróży.

— Dziękuję. Jak wiesz, nie zwykłam jadać między śniadaniem a obiadem.

Jednocześnie obrzuciła śledczem, wprawnem spojrzeniem każdy kąt salonu, zwracając od czasu do czasu oczy na jego mieszkańców, jak gdyby szukała łączności między ludźmi a ich otoczeniem. W końcu odbił się na jej twarzy wyraz zniechęcenia zwykły u tych, którzy się przygotowali na surową krytykę, a materyału odpowiedniego nie spotykają.

— Jeżeli pozwolisz matko, obejrzelibyśmy resztę naszego mieszkania.

Pani Bellevaux dała się pociągnąć, i przechodząc z pokoju do pokoju zdradzała te same oznaki niezaspokojonego pragnienia przekornej zrzędności, której nie miała na co wyładować. Nakoniec w buduarku dla niej na mieszkanie przeznaczonym, zjawiły się nagle przed jej oczami te posążki, śmiesznie udrapowane tkaninami jednobarwnemi.

— Szczególna kolekcya—pomruknęła przez zęby.

— To są — tłumaczył Robert — modele, potrzebne Odecie do jej studyów. Pokój ten należał do niej, i z przyjemnością ustąpiła go tobie matko. Ale jeśli cię to razi, możemy kazać wynieść natychmiast.

— Doszłam do wieku, w którym widoki podoki podobne nie gorszą, ale dla oczu młodej panienki posągi takie wydają mi się trochę za śmiałe. Zresztą pani rozumiała to sama, okrywając je w te muszliny. Jest to przewidywanie godne pochwały, którego jej winszuję.

Podczas gdy Odetta odwróciła się do ściany, aby przezwyciężyć chętkę głośnego śmiechu, stara dama znalazła sobie inny powód do niezadowolenia.

— Ależ tu zaduch prawdziwy — zawołała. — Róże! wogóle nie znoszę kwiatów. Służy to tylko za przynętę dla owadów, a przytem sprowadza migrenę... Weź to Robercie!

— Może zechcesz matko wypocząć cokolwiek; zostawilibyśmy cię samą.

— Oh nie. Przytem nie zniesiono tu jeszcze moich rzeczy, więc możemy obejrzeć resztę.

Zaczęto tedy na nowo inspekcyą. Zawsze sztywna i automatacznie posuwająca się, przeszła ta szczególna kobieta cały szereg pokoi: sypialnie, gabinety do pracy, korytarze, kredens, nie darowała i kuchni. Wszystko chciała widzieć; odsuwając szuflady, zaglądając w kąty, ruszała bardzo znacząco podbródkiem od czasu do czasu. Dopiero nadejście kufrów oderwało ją od tej pracy szczególnej i wtedy powiedziała, że musi iść do siebie, aby rozpakować rzeczy.

— Jeśli pani pozwoli — powiedziała grzecznie Łucya — Odetta mogłaby dopomódz może?

— Nietrzeba. Nawykłam służyć sobie sama. O której godzinie obiad u ciebie Robercie?

— To zależy matko jak ty zechcesz. Oznacz godzinę sama.

— Niechże będzie siódma. Przyjdź do mnie o trzy kwadranse na siódmą.

Po jej odejściu obie kobiety wymieniły spojrzenia trwożne, nie mogąc się zdobyć na jeden nawet wyraz. Robert starał się uspokoić te obawy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MAGAZYN DZIECINNY

„JANINY“

Marszałkowska № 151, w Warszawie. 180

Stale zaopatrzony w najmodniejsze **Palta, Salopki, Sukienki i Garnitury** dziecinne.

Trykotaże francuskie chroniące od zaziębienia. **Kamasze i Rękawiczki. Bieliznę, Fartuszki, Kapotki, Czepki i Sukienki do Chrztu.**

Obstalunki przyjmuje się ze swoich i powierzonych materyałów.

STEFAN TERTUS Z ODESSY

(Firma egzystuje od 1864 roku).

Otworzył Filię Składów Herbaty: Chińskiej i Cejlońskiej

w Warszawie. Senatorska Nr. 4.

Uwaga. Komisya Sewastopolska po analizie produktów spożywczych i napojów, uznała herbatę Stefana Tertusa za czystą i bez wszelkich domieszek obcych liści i różnych farbowań. (Kr. Wiestn. z dnia 10/22 1897 r. za Nr. 324).

Zarządzający filią **M. Lisser.** 76

Nowo-otworzony Sklep Ogrodniczy

„VIOLETTE“ 163

Erywańska 16, wprost Magazynu Hersego, 2-gi dom od Marszałkowskiej.

F. Pierzchalski

MAZOWIECKA 8

SKŁAD SZKŁA

krajowego i zagranicznego

WYBÓR DUŻY.
CENY PRZYSTĘPNE.

Własna Malarnia Porcelany.

Ogromny wybór przedmiotów do upiększenia.

123

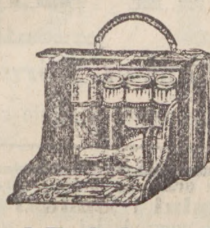
Pierwsza specyalna fabryka

wyrobów skórzano-galanteryjnych i przyborów podróżnych

B-ci NEUMAN, w Warszawie 17

5. Bielańska 5.

Poleca wielki wybór: Waliz, toreb, nesseserów podróżnych, pudełek do kapeluszy skórzanych i drewnianych, kuferki, ramki, albumy, pledy, paski portfele, pugilaresy, portmonetki, portcygary



od R. 3 do R. 25. po cenach hurtowych.

Przyjmuje się zamówienia na pojedyncze sztuki.

Wysyła się za zaliczeniem.



od R. 2,50 do R. 20.

tylko Bielańska 5 — **tylko Bielańska 5**

Do nabycia w księgarniach podręcznik naukowy pedagoga **Reussnera**

„SAMOUCZEK”

Polsko - Francuski, najlepsza, najnowsza, najłatwiejsza metoda do bardzo prędkiego nauczenia się francuskiego języka **bez nauczyciela,** z objaśnieniem wymowy i akcentowania, **I-szy kurs** kop. 1.20, **II-gi kurs** kop. 3.20— **Gramatyka Polsko - Francuska,** kop. 1.20, lub całe dzieło w **47**-iu zeszytach, każdy po kop. 15 (pocztą kop. 18).

Wypisy Francuskie (**Morceaux Choisis**) ze słowniczkiem w 4 językach, zeszyty po 15 k. (pocztą 18 k.)

SAMOUCZEK Polsko-Rosyjski. Kurs Niższy 14 zeszytów, **Kurs Wyższy** 18 zeszytów po kop 10 (pocztą kop 13).

Na pocztę doplata do każdego rubla po 25 k.

Na żądanie wysyła się **bezpłatnie** I-y zeszyt **„Samouczka“ Francuskiego i Ruskiego.** Skład główny u autora (**Reussnera**), ul. **Złota № 6,** w Warszawie. 87



Sensacyjna Nowość

dla Pań!!

Nowo-wynaleziony patentowany elastyczny

gorset Pabsta

nie gumowy,

poddający się każdemu ruchowi bez uciskania ciała, a mimo to nadający figurze piękne kształty, trwały i nader swobodny w noszeniu, słowem prawdziwe dobrodziejstwo dla dbających o swe zdrowie pań,

poleca FIRMA

„WYGODA”

Marszałkowska Nr 118, 1-sze piętro.

Cena stała rub. 7 kop. 50.

Zlecenia zamiejscowe wykonywamy bezzwłocznie za zaliczeniem pocztowem. Do obstalunku należy dołączyć obwód stanu (na sukni) lub rozmiar talii jednej połowy używanego gorsetu.

Wyłączna sprzedaż na całą Rosyę i Królestwo Polskie. 85

Adres dla listów: „WYGODA” WARSZAWA 275.

KAUCIONOWANE BIURO NAUCZYCIELSKIE

profesorowej CLAVEL

w Warszawie, Warecka 10

poleca:

Nauczycieli, Nauczycielki, Wychowawczynie i Bony.

Korespondencye z Francyą, Szwajcaryą, Niemcami i Anglią. 139

Egzystujący od 19-tu lat

Zakład Tapicersko-Dekoracyjny
Adolfa Okoń

№ 10 ulica Mazowiecka № 10

otworzył przy takowym **MAGAZYN MEBLI GOTOWYCH** w różnych stylach, jako to: salonowych, buduarowych, stołowych, gabinetowych i sypialnych. Urządza całe apartamenta nowe i przerabia stare. **Ceny nader umiarkowane.** 142

Zakład Ogrodniczy 154
W. GARNUSZEWSKIEGO

Krakowskie-Przedm. N-r 5

poleca wszelkie wyroby w zakres specyalności wchodzące.

Ogrody własne w MOKOTOWIE, Kolonia N-r 6/C.

Kapelusze ubieram, Suknie i okrycia odrabiam wykwintnie, **fason prześliczny,** wykończenie wzorowe. **Formy z bibułki sukien i okryć,** z materyałów kraję i dopasowywam na poczekaniu. **Suknie w 24 godzin** wykończam bez zawodu. 179

KAZIMIERA

Nowogrodzka 37, róg Marszałkowskiej.

(Poprzednio przy Niecałej lat dwanaście).

A. MAKOWSKI i E. RAUER



Pierwsza w kraju fabryka

Wieńców, Kwiatów i Roślin

metalowych

Bukiety na ołtarze.

Girlandy z bluszczu, winogrona, konwalij i niezapominajki.

Krzaki róż w doniczkach. 120

PALMY, KAKTUSY, FIKUSY i t. p.

SKŁAD FABRYCZNY: **Senatorska 22, na piętrze.**

FABRYKA: **Aleja Jerozolimska 129.**

MAGAZYN MEBLI
Maksymiliana KALMUS

Warszawa, Marszałkowska 149, Próżna 2.

Stale zaopatrzony w wielki wybór mebli od najprostszych do najwykwintniejszych.—Wykonywa obstalunki szybko i akuratnie we własnych warsztatach stolarsko rzeźbiarskich.

Ceny nizkie, lecz stałe. 191

MAGAZYN

PRZEDMIOTÓW GOSPODARSTWA DOMOWEGO

i Ozdób pokojowych 189

„Metropol”

Jerozolimska 72.

Za gotówkę i na wypłaty, najdogodniejsze warunki.